

Waldemar BORZESTOWSKI

CARPE DIEM!

Reportaż osobisty

Tu byłem szczęśliwy. Kolorowe zdjęcia złożone w talię tasuję i rozkładam przed sobą. Kiedyś potrafiła wróżyć przyszłość moja Mama. Nauczyła się stawiać perską kabałę podczas wojny, w bunkrze przeciwlotniczym w Gdańsku na Przeróbce. Angielskie i rosyjskie bomby gwizdząc spadały na stocznię Schichaua, a ona pod ziemią pobierała nauki „wiedzy tajemnej”. Kiedy śmierć jak jaskółka wleciała do naszego domu na wzgórzach, Mama nie była tym zaskoczona. Od lat powtarzała – „umrę mając siedemdziesiąt dwa lata”. W swoich wróżbach była bardzo dokładna. Ja, rozkładając zdjęcia, spoglądam w przeszłość, przywołuję ją, wypełniam kolorem wspomnienia. To także wymaga specjalnych umiejętności: mam je w genach. Powracam więc do krainy mistycznej. Moja myśl jest szybka jak ptak.

Dzień pierwszy

Znów jestem przed willą doktora Majkowskiego – to pierwsza fotka – Kartuzy. Tu wszystko się zaczyna i kończy. Dzieci wdrapują się po schodkach, trzymają się kutej, metalowej balustradki. Słynny Erem unosi się w powietrzu perlistym, barwa tynku jednoczy się z barwą nieba. Dopiero teraz, na zdjęciu, widzę to w pełni. Ten dom jest niezwykły, przesiąknięty atmosferą baśni.

Wyjeżdżamy do Sianowskiej Huty autobusem z przystanku naprzeciw. Nie zamierzaliśmy szukać w Kartuzach domu Aleksandra Majkowskiego, autora *Życia i przygód Remusa*, dom pojawił się, wyszedł na nas zza rogu, wydał się znajomy, przywołał. To on – pomyślałem i po raz pierwszy podczas tej podróży poczułem na sobie dotyk tajemnicy. Stało się. Wkraczamy na ścieżkę, w głąb zaczarowanego lasu. Autobus serpentyną drogi w mgnieniu oka wiezie nas na miejsce. Wsiadamy i ogarnia nas zieleń. Przymykając oczy wznosimy się tak wysoko, jak tylko pozwala na to wyobraźnia, aby lepiej usłyszeć świergot ptaków, szelest liści. Trwamy tak urzeczeni, dopóki nie przejedzie obok nas pierw-

szy samochód, zaraz za nim świsnął drugi. To droga do Sianowa, Mirachowa, na Lębork. Przerywamy lewitację i zgrabnie zeskakujemy na ziemię. Przyjazna asfaltowa droga wiedzie nas najpierw lasem, dalej pagórkami wśród pól, ku wiosce. Witają nas krzyże. Wznoszą się na każdym niemal nagim wzgórzu, najczęściej jeden, czasem kilka. Robi to niezwykle wrażenie. Okolice te dawniej uważano za wylęgarnię czarownic – tak napisano w bedekerze. Czyżby więc krzyże miały chronić mieszkańców wiosek opodal Sianowa i Staniszewa przed złymi mocami? Sianowska Huta jest mała, ma kilka charakterystycznych budynków: starą pruską szkołę z czerwonej cegły – niemal w każdej wsi na Pomorzu jest taka, piękny gmaszek, prawie dwór na wzgórku przy jeziorze, z datą 1914 zaznaczoną wyraźnie na frontonie – dwie rozwalające się ryglowe kaszubskie checze i nową remizę ochotniczej straży pożarnej, obok której rozbito kilkadziesiąt namiotów. To młodzież, kilka zakonnic i paru księży. Są też w wiosce trzy kapliczki i dwa krzyże misyjne.

Nasz domek zbudowano za wsią, na podmokłej łące w pobliżu jeziora bez nazwy. Obok jeszcze niedawno kopano torf. Jest drewniany, zielony, z rzeźbionym bocianem na dachu. Za nim rośnie lasek mieszany, w którym są jagody i grzyby. Z domkiem zaprzyjaźniamy się powoli. Najpierw niepewnie rozkładamy swoje rzeczy na półkach; miejsca jest dużo, lecz my lękliwie grupujemy je w sterty. Taką mamy naturę, a jaka jest jego natura? Czy ma duszę domek z bocianem na dachu?

Dzień drugi

O świcie przyglądam się z pomostu gospodarstwu za jeziorem. Biały dom, ten z datą 1914, wygląda uroczo, obok, w tle, zabudowania gospodarcze z czerwonej cegły, na kamiennej, cyklopiej jak mury Tirynsu podmurówce. Z obory mali chłopcy wypędzają krowy, całe stado, kilkanaście sztuk. Wybiegają na łąkę. Przyjemny ziąb przenika mnie, odświeża. Jestem radosny, rozciągam ramiona i chwytam w nie wschodzące słońce. Zapowiada się pogodny dzień.

Wędrowanie. Najpierw do Sianowa. To kilka kilometrów. Wśród pól czujemy się jak pielgrzymi. Mijani ludzie witają nas uśmiechem, przekazujemy sobie życzenie dobrego dnia. Czasami rozmawiamy krótko i życzliwie. Jak to pielgrzymi, wciąż pytamy o drogę; niby mamy mapę, ale wolimy się upewnić, a poza tym chcemy ich słuchać, nieznanych, wychodzących naprzeciw, spoglądających zza płotu. Chcemy ich poznać. Jesteśmy nastawieni na odbiór. Obchodzimy kościół w Sianowie, przyglądamy się z bliska bocianom na gnieździe w pobliżu domu pielgrzyma. Skupieni wkraczamy do sanktuarium. Przekraczamy granice pewnej rzeczywistości. Odczuwamy to wyraźnie. Trwa Msza. Od progu wita nas blask bijący od cudownej figurki. Niewiasta odziana w słońce wita nas łaskawym spojrzeniem. Kościół jest mały, ale w sam raz. W większym

iskierka świętości mogłaby ulec przytłoczeniu, wpaść w cień, a nawet zgasnąć, mimo tylu żarliwych modlitw wokół. Tutaj błyszczy, oświetla nasze oczy, wypełnia serca mocą. Jesteśmy. Mam ochotę pokiwać dłonią na powitanie do Matki Boskiej i Syna. Spoglądają na nas życzliwie, wydają się bliscy, oczekujący naszej wizyty. Pogodne jest oblicze Marii, w pewnym sensie znajome, w pewnym sensie swojskie, a przecież jednocześnie pełne majestatu. Jak jednak nazwać ten majestat, który nie odrzuca, nie tłumi, nie zniechęca, lecz przywołuje, napędza pokojem? Jezusek jest mały, Maria trzyma go w ramionach, tam na ołtarzu, tak jak trzymała Go wówczas, gdy On był mały; Maria wydaje się być główną opoką zbawienia ludzkości. Ta, co urodziła Boga, Boża rodzicielka. Zdejmuję plecak, naszą szafę z ubraniami i spiżarnię z jedzeniem, kładę go obok na ławce. Przed nami i za nami wielu młodych. Modlą się, śpiewają, klaszczą. Rozglądamy się.

Haft kaszubski zdobi liturgiczny strój kapłana i obrus przykrywający ołtarz. Z przyjemnością rozczytuję się w nim, teraz mądrzejszy dzięki obserwacji siebie i ziemi, z której pochodzi mój ród. W hafcie tym są wszystkie kolory tej niezwykłej krainy, ideogramy pojęć, pradawne, niemal runiczne znaki przekazywane z pokolenia w pokolenie. Odnajduję się w nich: bliskie jest mi słońce, tak samo jak bliskie było Prasłowianom umieszczającym jego symbol na popielicach; lubię żuki, które do naszego mieszkania na Garcarskiej latem wpadają co chwila przez okno, bynajmniej nie na herbatkę; z kwiatów tulipany obdarzam najgorętszym uczuciem, bo są pysznie wiosenne, mocne, pachnące. W hafcie jest zieleń, żółć, niebieski, czerwony, kolory wymieszane w takich proporcjach jak teraz, latem, widzę to wśród pól, lasów, nad jeziorami. Jest lipiec. Zbliżają się żniwa. Żłocisty jest kolor słońca, żłociste pola – to bogactwo natury wokół sprawia, że sami wewnętrznie czujemy się bogaci.

Kościół w Sianowie spłonął dwukrotnie; ten, który teraz wznosi się nad jeziorem, otoczony cmentarnym murem, jest trzecim. Figurka kaszubskiej Madonny za każdym razem cudem uniknęła zagłady. Zaiste, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że wokół dzieją się rzeczy nadzwyczajne. To miejsce kultu, do którego zmierzają pielgrzymki, zdaje się być obiektem ataków. Ale czyich? Może czarownic? Czarcia Góra, inaczej Łyska, wznosi się dokładnie naprzeciw kościoła. W dawnych wiekach miały się tam odbywać sabaty. Postanawiamy zaraz po Mszy wdrapać się na to wzniesienie. Złe kusi – mówią. Nas pokusiło.

Daremnie jednak usiłujemy wejść na tajemniczą górę. Broni się przed nami umiejętnie. Choć jej wierzchołek jest nagi, wokół niego, na stromych zboczach, wyrósł nieprzebyty gąszcz krzewów i pokrzyw, niżej wysoka trawa. W trawie ukrywają swoją niebezpieczną obecność zapadliska, osaczają nas z każdej strony. Zniechęceni oporem wycofujemy się. Rzeczywiście, na jej szczyt można się dostać tylko na miotle – mówi córka. Robimy zdjęcie, które po powrocie do Gdańska sprawi nam niespodziankę. Laboratorium Kodaka na Podmłyńskiej zatrząsie się w posadach, zanim Czarcia Góra na lekko usmalonej fotce trafi do

mych rąk. „Na przyszłość niech pan uprzedza o rodzaju fotek” – uśmiecha się pan z laboratorium, gdy mówię mu, co zdjęcie przedstawia. Przyglądam się fotce, jest lekko prześwietlona. Widać wyraźnie Górę, a na jej zboczu, w trawie trzy postacie, kobiety – żona i córka – wznoszą ręce jak do lotu, syn między nimi, a przed nimi blask, niezwykajny, uderzający. Na kliszy zostało zarejestrowane zjawisko, którego nie dostrzegły nasze oczy. A więc góra przemówiła. Przez chwilę byliśmy w jej mocy. Prawdziwy „Piknik pod Wiszącą Skałą”. Gdybyśmy mieli ze sobą magnetofon, może udałoby się zarejestrować muzykę, fletnię Pana.

Powracając do Sianowa wciąż czujemy na sobie czyjś wzrok. Dziwne mrowienie przebiega mi po plecach. Tym razem idąc na skróty docieramy w pobliże kościoła szybciej. To dziwne – myślę – że oba miejsca, tak różne, są blisko siebie: sanktuarium Maryjne i Czarcia Góra. Czy wciąż toczy się tu między siłami dobra i zła bezpardonowa walka, o której zaświadczyć mogą relacje o pożarach i zgliszczach?

Wracamy przez pola tą samą drogą, którą przyszliśmy. Zmęczenie daje znać o sobie. Mija dzień. Słońce masuje nam barki. Docieramy do Sianowskiej Huty późnym popołudniem. Piekielnie wyczerpani przygotowujemy się do snu, jemy kolację, myjemy się, ścielamy łóżka. Potem wychodzimy na werandę. Słońce jest już nisko nad horyzontem, promienie padają z ukosa na jezioro bez nazwy. Niewysokie fale połyskują niczym kryształowe okruchy rozbitego lustra. Jest pięknie. Po drugiej stronie jeziora, tam, gdzie jest krótka, piaszczysta plaża, trwają przygotowania do ogniska. Słychać śpiew. Głos niesie się po wodzie, więc możemy powtarzać słowo po słowie pieśń o Chrystusie. Brzmi uroczyście pod niebem, które staje się różowe, różowopomarańczowe, wreszcie czerwone, aby zgasnąć. Niebo śpiewające kolorami zmierzchu. W pewnym momencie naszą czujność budzą dziwne odgłosy za domkiem, słychać trzask łamanych gałęzi. Zaniepokojeni, ruszamy tam śpiesznie. Stajemy przerażeni. Horda młodych ludzi wyłamała niemal cały młodnik. To na kijki do pieczenia kiełbasy – tłumaczą. Działali, jak wszyscy barbarzyńcy w historii, spontanicznie, więc drzewka, które stawiały opór, zostawiali nadłamane, łapiąc za rosnące po sąsiedzku w nadziei, że z nimi pójdzie łatwiej. Nie słyszeli ich krzyku, nie wzruszyła ich młodość dąbczaków, niewinność brzoź. Zwracamy im uwagę. Odchodzą ze śmiechem w inne miejsce. Jesteśmy zdenerwowani, zwłaszcza dzieci. To one ruszają pierwsze w kierunku plaży, gdzie płonie ognisko, skąd słychać „Alleluja!” Żona idzie za nimi. Usiłuję ich zatrzymać. Gardzą moją radą. Słusznie. Odcinam zniszczone gałęzie, porządkuję, niczym ogrodnik, naruszoną konstrukcję przydomowego raju. Łzy cisną mi się do oczu. Podążam powoli za rodziną, ich śladem. Już z daleka słyszę dziki chichot młodzieży. Widzę, że dzieje się coś niedobrego. Młodzi księża raczej solidaryzują się ze „swoją” młodzieżą. Patrzę na nich wszystkich i nie wiem, co myśleć. Kim są? Przebierańcami? Ogarnia mnie smutek, mówię im o tym. Mają zabawę: „Dzię-

kujemy za pouczenie. Spadaj. Z Bogiem” – dowcipkują na pożegnanie. Odchodzimy przygnębieni. Po powrocie, na pomoście, spalam papierosa.

Nocą przyszła burza. Budzimy się, cztery osoby w dwóch łózkach. Chyba jednocześnie. Jesteśmy bardziej zdziwieni niż przestraszeni. Oślepiająca jasność wkrada się nagle do naszego pokoiku, błyski pojawiają się wśród łąk i nikną. Niebo zdaje się być niżej niż zazwyczaj, huczy, dudni, warczy, jest ciężkie jak słoń, stado słońi przebiega po niebie wysoko wznosząc trąby. Myślę z lękiem, że mogłoby nam spaść na głowy.

Wydani na łaskę i niełaskę piorunów znajdujemy się w stanie niepełnej świadomości. Pomroczość jasna otula nas kołdrą szepcząc do ucha: „śpij”, jasna pomroczość szarpie za rękę krzycząc: „Wstawaj, to burza, rób coś, zapal świeczkę”. Podniebna wojna trwa kilka godzin, przewalają się nad naszym dachem fronty anielskie, diabelskie czy też jakieś inne. Grenadierzy repetują karabiny, oddają salwy, rusza konnica, iskry sypią się spod kopyt obficie, armaty wypluwają z gardzieli pociski mogące zabić naszego drewnianego bociana nieboraka. Właśnie zasypiam przytulony do poduszki, zmęczony niczym żołnierz w okopie podczas kanonady tak bardzo, że jest mu obojętne, co się wokół niego dzieje, kiedy wraży pocisk wpada do jeziora. Potężna eksplozja rozdziera powietrze. Wokół nas robi się jasno jak w dzień albo jakby ktoś za oknem zapalił racę, taką jakiej używa się na statkach, aby zasygnalizować zagrożenie. Trwa to ułamek sekundy. Potem ktoś z góry znów zarzuca na nas płaszcz ciemności. Nowe armie, które pojawiają się na niebie, zmieniają marszrutę: jedne idą do przodu, inne pośpiesznie rejterują. Krok za krokiem oddala się od nas miejsce walki. Odgłos werbli i fragoletów ginie za wzgórzami, gdzieś obok Pomieczyńskiej Huty. Powraca sen. Diabluki, które na czas burzy skryły się pod dach, wyglądają na świat Boży. Ryjki bagiennych stworzków wychynęły z mroku i chwytają na nos krople deszczu. Pada aż do świtu. Łapię mój sen, zanim zdoła uciec, wciskam go popiskującego pod poduszkę i zasypiam.

Dzień trzeci

Po całonocnej burzy z piorunami młodzież zbiera swoje namioty, przygląda się nam wrogo, ale milczy. Na linkach rozwieszono powiewają dziesiątki ubrań, koce. Sprzęt, namioty suszą się na trawie. Wygląda to tak, jakby przeszedł tędy potop. Na skłonie wzgórza w kierunku remizy gniewna woda wyżłobiła głęboki rów. Czyżby Borowa Ciotka, opiekunka lasów, o której tyle opowiadają kaszubskie podania, postanowiła nauczyć ich moresu? Odwracamy głowy w słoneczną stronę. Unikamy ich spojrzeń. Usiłujemy zapomnieć o wczorajszym spotkaniu. Kiedy wracamy z naszej przechadzki do lasu, już ich nie ma. Zniknęli, rozplynęli się w rozgrzanym powietrzu jak fatamorgana.

Podpatrujemy kamienie leżące w stertach na poboczach dróg, są różnej wielkości, barwy, przysiadamy na nich, robimy im zdjęcia. To diabelski plan. Podobno wyrastają na polach jak ziemniaki. Jest ich mnóstwo w piaszczystej ziemi. W miejscach, gdzie po deszczu spływała woda, wychylają główki ku słońcu.

Mam przekonanie, że w poznawaniu świata wiele zależy od sposobu poruszania się. Na ogół nie należy się śpieszyć, mówi o tym także Pismo święte, ostrzegając, że „gubi drogę, kto biegnie zbyt szybko”. Gdy wkracza się do lasu, warto przypomnieć sobie scenerię, nastrój *Snu nocy letniej*, a być może także wspomnieć sentencję jej autora, że „gładka jest woda tam, gdzie strumień płynie głęboko”. Poszukując harmonii, wody głębokiej, zimnej, czystej, musimy być otwarci. Las jest domem, miejscem schronienia, przemieszkowania pradawnych mocy, które w cieniu drzew czują się bezpiecznie. Są lasy świetliste, wyłożone i wysrebrzone, śpiewające wesoło, roześmiane. Zbierając maliny czy jagody w takim lesie czujesz na języku ich słodycz. Unosisz się lekko, jakbyś był uskrzydłym elfem, skaczesz niczym polny konik od krzewu do krzewu. Tu, tu! – wołasz współtowarzyszy wyprawy, zachwalasz wielkość jagód, mówisz – są jak wiśnie! Trafiasz także na miejsca groźne, przechodząc przez nie warto zewrzeć szeregi, przebiec truchtem podmokłe ścieżki wśród bagnisk, gdzie komary ostrzą swój wilczy apetyt, a spotniałe oczy drzew błagają o litość. Strach jest strachliwy, boi się wesołości jak diabeł święconej wody. Pamiętaj o tym wędrowcze, gdy zobaczysz go przed sobą. Śmieję się, a szybko zejdziesz ci z drogi. W lesie należy stąpać inaczej niż w mieście, inaczej patrzeć, oddychać; aby się dobrze w nim czuć, trzeba zapomnieć o miejskich naukach. To warunek konieczny powrotu do raj. Świat natury jest nieufny wobec nas, którzyśmy go zdradzili.

Dzień czwarty

Zbieramy opał na pożegnalne ognisko. Dzieci przyniosły miotłę, leżała na drodze polnej, spadła z trzonka. Do ogniska – śmieją się. Wysuszone witki dobrze się palą. Na miotle upieczemy kiełbasę. Skąd miotła na drodze wśród pól, w pobliżu naszego domku? Czyżby podczas ostatniej burzy przelatowały nad nami czarownice, te z Czarnej Góry? Zmierzcha, a więc powołujemy do życia ogień. Zaczynamy ostrożnie, ruszamy z miejsca powoli, coś tam płonie, coś tam pełza, chłód cofa się, my w kręgu ciepła czujemy się wspaniale. Kiedy robi się zupełnie ciemno, wilgoć osiada na trawie, ziab staje się natarczywy. Coraz grubsze polana wędrują do ogniska. Zawsze zgłodniałe płomienie chwytają je, gryzą. Wkoło słychać trzask, migają w powietrzu węgliki. Ogień bucha radośnie, jesteście bezpieczni. Jemy kiełbasę, piję piwo. Rozglądamy się po świecie. Goreją nam twarze i oczy. Uczestniczymy w uczcie na skraju wielkiej

nocy, nad jeziorem bez nazwy. Kot sąsiadów przysiada na kamieniu, którego siny grzbiet wynurza się z jeziornej toni. Z tej wyspy spogląda prosto w ogień. Zbliża się północ. Wśród ciemności jego oczy wpatrzone w ogień błyszczą niesamowicie, jakby ktoś w wodzie, zaraz pod powierzchnią, zatopił dwie seledynowe żaróweczki. Potem, gdy ognisko zaczyna przygasać, opuszcza zręcznie swoje siedzisko i żegnając się z nami przechodzi obok nas, wyprężonym grzbietem ocierając się o nasze nogi. Im ciemniej na dole, tym jaśniej robi się tam w górze. Niewiarygodna ilość gwiazd pojawia się nad naszymi głowami. W mieście tego nie widać. Można by prawie sądzić, że gwiazd jest więcej niż przestrzeni granatowego nieba między nimi. Połyskując, różnią się między sobą rodzajem światła: niektóre są całkiem blade, prawie niewidoczne dla oka, inne goreją w przestrzeni niczym wulkany, są też takie, które połyskują w ciemni kosmosu nerwowo jak aparat fotograficzny fleszem. Obserwujemy także gwiazdy nieszczęśliwe, bez spadochronu rzucające się w objęcia zatury. Dwie przelatują nad nami, nad jeziorem, za las. Chciałbym tu wrócić – wyrażam życzenie. Podobno tak trzeba. Czy usłyszały?

Tej nocy śpię twardo. Słyszę jeszcze, jak po dachu przebiega jakiś zwierzak, wiewiórka albo nasz znajomy, kot sąsiadów, czarniutki amator płomieni, miaukliwy sprzymierzeniec dziadka codziennie łowiącego płocie. Mój sen jest twardy jak sen zimowy drzewa. Rano budzę się mocny. Mimo to, a może właśnie dlatego chce mi się płakać. A więc odjeżdżamy.

Dzień piąty

Ponownie w Kartuzach. Powrotna droga. Więcej czasu. Zwiedzanie. Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Wnętrza. Zaglądamy do środka ze strachem. Uchylamy drzwi. Tak oto wygląda barok, jeżeli zedrzyć zeń pozłotę, wykraść szczodroblivy promień słońca ostatnim dniom września, październikowi, przedwcześnie wymieść z parkowych alei różnobarwne opadłe liście klonu i kasztanowca, pozwolić, aby owoce: soczyste jabłka, słodkie gruszki, śliwki zgniły na paterze, aby pleśń zielona pokryła młody chleb, który nie poznał noża. Straszne. To tak jakby wprowadzić chyłkiem ziąb do salonu, gdzie spotyka się towarzystwo, aby konwersować o błahostkach, z rozkoszą pić herbatę albo dla rozrywki grać w wista. Jak tu zimno, okropnie, brrr – spoglądałyby po sobie panie. Ziąb jest przyjacielem śmierci, a śmierć kończy zabawę. „Przeklinam śmierć, niesprawiedliwie jest nam dana” – napisał Miłosz. Wątpię, czy ten cytat spodobałby się kartuzom. Oni ze śmierci uczynili misterium. Gdyby pozostali tu do dziś, może obok browaru, słodowni i innych „interesów” prowadziliby także zakład fotograficzny. Czy ludzie przynosiliby tam do wywołania filmy, gdyby pojawiała się w prawym, dolnym rogu każdego zdjęcia, obok daty, sentencja przypominająca o przemijaniu – memento mori? Sopot,

zdjęcie z wakacji, morze w tle, plaża, my roześmiani i memento mori. Podczas urodzin my i goście, okrągły stół w dużym pokoju, świece płoną na torcie i memento mori. Nasi znajomi u nas, rewizyta, wino, sałatka i dyskusja o poezji Williama Blake'a i memento mori. Nie do zniesienia. Życie na cmentarzu. Listopad. Święto umarłych. Gnijące liście. Szaruga. Błoto. Szybko zapadający zmierzch. Zimno.

Anioł Śmierci z kosą w rękach bujający się nad wejściem do domu Bożego, wahadło klasztornego zegara, rach ciach, rach ciach, bez końca. Żniwo. Co dziesiąty, co setny, co dwusetny nie dożyje następnej niedzieli. Okrucieństwo. Ze ścian, z wysoka spoglądają na nas twarze umarłych dobrodziejów konwentu. Portrety, mające zaświadczyć o ich pozycji i bogactwie, ściemniały. Odeszli, a więc i my odejdziemy – mówi przewodnik sprzed wieków. Ten jest prawdziwie szczęśliwy, kto pozbył się nieznośnego brzemienia. Wlecjemy za sobą cień śmierci, „cieniem się kładą dni nasze” – znów sentencja. Klasztor kartuzów poraża jak spojrzenie węża, przykuwa do miejsca, sprawia, że czujemy się jak sparaliżowani w obliczu tego, co nieuchronne. Jest jak wytworna trumna czekająca na katafalku, aż pojawi się kondukt żałobników. Została porzucona, zapomniano już nawet, jak zwał się nieboszczyk, który w niej leży. Powszechnie zaczyna się wątpić, żeby mógł to być ktoś stąd. Zbyt jest wielka ta trumna, ten kościół pradawny między dwoma jeziorami. W jej czarnych wnętrzościach ukrywa się grono świętych eremitów. Żegnam ich z radością. Carpe diem! Carpe diem! – krzyczy moje serce. Z radością też na zewnątrz odnajduję znajome niebieskie niebo, zielone drzewa, złote słońce i wszystkie swoje namiętności i demony, spośród których Gabriel Garcia Marquez wyróżnił w tytule zbioru swoich opowiadań szczególnie jednego – miłość.